



NIE MOGĘ ZROZUMIEĆ,
DLACZEGO POLACY
ŻYJĄCY NOWOCZEŚNIE,
PODRÓŻUJĄCY
PO ŚWIECIE
ODDAJĄ WŁADZĘ
W RĘCE CZŁOWIEKA,
KTÓRY FUNDUJE IM
KRAJ KOMPROMATÓW

”



NEWSWEEK: „Grzech twój jest rzemiosłem, a nie przypadkiem” – pisze Szekspir w wyreżyserowanej przez pana „Miarce za miarkę”.

JAN KLATA: Wybór tekstu nie był przypadkowy, to opowieść o podporządkowaniu sądów władzy zgodnie z mottem: „Kto ma władzę, nie musi mieć prawa”. Co oznacza, że kto ma władzę, może przymusem podporządkować sobie życie innych – dla ich dobra oczywiście – i przyznaje sobie przywilej traktowania własnego grzechu inaczej niż cudzego, a wręcz decydowania o tym, kto jest grzesznikiem: „Grzech wznosi jednych, innych cnota traci: Jeden bezkarnie ciągle grzeszyć może, inny grzech jeden gardłem swoim płaci”.

Przedstawienie wystawił pan w czeskiej Pradze.

– Po przymusowym pożegnaniu ze Starym Teatrem w Krakowie współpracę zaproponował mi teatr z Pragi. Czechy były akurat w przededniu wyborów prezydenckich, cały kraj oplakatowany Milošem Zemanem i jego prostym jak budowa cepa hasłem: „Ta ziemia jest nasza!”. Postanowiliśmy wystawić sztukę, która zachowa świeżość po wyborach, a mnie pozwoli odreagować to, co wydarza się w mojej ojczyźnie.

„Pośpiech za pośpiechem i za karę kara, głowa za głowę i za miarę miara”.

– Prawie i sprawiedliwie! Nie chciałem emocjonalnego bluzgu, choć sposób, w jaki wicepremier Gliński rozpieprzył Stary Teatr,

budził bezradną wściekłość. Ale „punk’s dead” – jak powiedziałby Johnny Rotten.

Umarł w panu bunt?

– Nie, nie bunt. Punkowa niezgoda na skłamaną rzeczywistość pozostała. Ale nie ma co walić na oślep grochem o ścianę, bo można sobie zrobić krzywdę i będzie tylko śmiesznie. Szekspir sampluje: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą”. Mogli mnie wyrzucić z hukiem od razu po wyborach, a jednak tego nie zrobili. Żeby nie niszczyć teatru? Nie, po prostu nie chcieli robić męczenników. Ogłosili więc konkurs, w którym jeden kandydat był gorszy od drugiego, a potem pozwolili na gnicie i totalną rozpierduchę, paradę nieudaczników kandydatów władzy.

Symbolicznie odzyskanie Teatru Starego dokonało się w oparach pozorów praworządności. Tak samo jak przejęcie Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego.

Pana odpowiedzią na otaczającą rzeczywistość jest sztuka?

– Gdy rok temu zaczęli łamać sądy, zapytałem żonę: „Może pora emigrować?”. Przez lata pracowałem za granicą, ale nigdy nie rozważałem zostania tam na stałe, zawsze tęskniłem, zawsze wracałem tu, do domu. Latem 2017 r. poczułem, że w tej duchocie nie da się twórczo żyć, ale akurat zaczęły się protesty pod sądami, ludzie masowo wyszli demonstrować swój sprzeciw. Na

ulicy pojawiła się energia, nadzieja. Więc i my z córkami zamiast emigrować, zaczęliśmy wędrować po Polsce szlakiem powrotu z wakacji: od sądu w Słupsku, przez Gdańsk, Warszawę, aż po Kraków. Gdy dziś patrzę na to, co z tego zostało...

Czuje pan bezsilność?

– Czasami mam wrażenie, że to są jakieś miesięcznice à rebours. Sprawnie działa dziś w Polsce tylko łamanie ludzi przez przekupstwo władzy albo zastraszanie: „zrób to, bo jak ty tego nie zrobisz, to będzie robił ktoś gorszy”. Można to nazwać ratowaniem substancji, ale mnie takie działanie nie odpowiada. Wolę czytać Eurypidesa.

Wkrótce wystawia pan jego „Trojanki” w Teatrze

Wybrzeże w Gdańsku. Premiera we wrześniu.

– Eurypides nie miał łatwego życia z rodakami. Jego sztuki rzadko wygrywały w konkursach organizowanych w Atenach. Był za mało państwowotwórczy. „Trojanki” to, najkrócej mówiąc, historia „zwycięskich” Greków, którzy przez dziesięć lat wegetowali pod murami Troi, aby w końcu dokonać zemsty: zdążyli złupić miasto, pomordować mężczyzn, zgwałcić kobiety. Obraz Eurypidesa to taki „the day after” po orgii przemocy, gdy bohaterowie okazują się zbrodniarzami. Grecy dowódcy rozlosowują między sobą trojańskie kobiety, choć wiadomo, który weźmie którą, bo wszystko zostało z góry ukartowane. Tyle że nagle Odyseusz, taki starożytny PR-owski macher, mówi: „Słuchajcie! Tu poległ Achilles, pochowaliśmy go z honorami, ale to za mało, jego śmierć wymaga ofiary! Złożmy niewinną córkę królowej Troi na grobie naszego bohatera. Tylko ona jego warta”.

Mit wojny trojańskiej mógłby ucierpieć?

– Powiadają, że to była wojna o żonę zbyt wielu mężów, ale przecież wiadomo, że początek każdej wojny jest zawsze o honor, nie o interesy geopolityczne, broń Boże. W tym wypadku szło o honor nieszczęsnego Menelaosa, męża Heleny. A potem liczy się już tylko to, jak rzeź przejdzie do historii. Czy polegli zostaną dostatecznie uczczeni. Achilles, narodowy bohater, nie może zginąć jako gnuśny dezertor postrzelony z łuku w piętę. To jest wielka, narodowa sprawa. „Jeśli nie dogodzimy poległemu bohaterowi, kto pójdzie na następną wojnę?” – pyta Odyseusz i tłumaczy, że on, skromny człowiek, też chciałby, aby po śmierci jego grób szanowano i otaczano czcią jego imię.

Koniec końców rządzą więc trumny. Skąd my to znamy?

– Eurypides zmusił Greków do oglądania bestialstwa swoich rodaków tuż przed rozpoczęciem wyprawy sycylijskiej, która okazała się klęską Aten. Nikt nie chciał odrobić lekcji o tym, do czego prowadzi kłamstwo i pycha, nikt nie chciał przyjąć do wiadomości, że na tym nie da się zbudować prawdziwej wspólnoty. Państwowotwórcza funkcja mitu okazuje się ważniejsza od prawdy. W rezultacie hoplici wylądowali w kamieniołomach, a Eurypides udał się na emigrację, dobrowolną, oczywiście.

Wcale nie oryginalne to Prawo i Sprawiedliwość!

– (*śmiech*!) No właśnie, wcale nie jest oryginalne. Historia ćwiczona od dwóch i pół tysiąca lat niczego nie uczy. Wypowiedź Odyseusza to jak wypowiedź naszego zbawcy narodu, no i przecież Jarosław Kaczyński – człowiek, jak wiadomo, czytany – musi znać historię wojny peloponeskiej.

PiS rządzi tak, jakby historia z nim się zaczęła i nim miała się skończyć.

– Ale do Piłsudskiego się odwołują. I do żołnierzy wyklętych. I powstanie warszawskie, największe miejskie walki uliczne dowodzone przez kawalerzystę, czczą jako świętą ofiarę złożoną na ołtarzu ojczyzny. I jeszcze PAD (to określenie lepiej pasuje do prezydenta niż jego imię i nazwisko) rozpoczął urzędowanie od wymiany obrazów w nieruchomości, którą zasiedlił na Krakowskim Przedmieściu. Zastąpił Nowosielskiego, gościa od abstrakcji i na dodatek innowiercę, naszym prapolskim Kossakiem malującym marszałka odbierającego kawaleryjską paradę ułanów w 250. rocznicę bitwy pod Wiedniem. Może ja jestem słaby z matmy, ale jak liczę, to wychodzi mi rok 1933. I to jest, niestety, gorzka prawda o nas i może o naszej przyszłości.

To znaczy?

– Sanacja, a potem wojna. Naiwne myślenie: „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna” jest obrazem naszej mocarstwowości. W sytuacji, gdy pan POTUS (President of The United States) rozmawia przyjaźnie z Putinem, kwestią kaprysu pozostaje przehandlowanie nas podczas kolejnego spotkania. Moskwa, gdyby chciała klasycznymi metodami osiągnąć to, co osiągnęła ostatnio w USA czy Wielkiej Brytanii, musiałaby chyba wszcząć III wojnę światową, a okazuje się, że wystarczy poklepywanie po plecach. Tymczasem polski rząd nie ma pomysłu ani na USA, ani na Chiny, ani na Rosję, ani na Europę, nie wie nawet, jak stworzyć legendarne Międzymorze, więc gdy Putin skinie palcem, nikt się nie zająknie. Obrona terytorialna też raczej nie zdoła przegnać braci Moskali.

Rozmawiamy średnio raz w roku, od kiedy Kaczyński przejął władzę i był już w naszych wywiadach zawłaszczony patriotyzm, była okupacja kraju przez PiS, a teraz jest zagrożenie wojną?

– Teraz jest tworzenie rzeczywistości alternatywnej, która ma stać się jedyną obowiązującą przy jednoczesnym niszczeniu wszystkiego, co mogłoby zakłócić wdrożenie tego planu w życie. Równia pochyła we wszystkich dziedzinach życia. Pytanie, gdzie jest punkt, po przekroczeniu którego nie ma już powrotu. Na ile te ich zmiany są nieodwracalne?

Uważa pan, że są nieodwracalne?

– Każda partia miała ochotę pogmerać w sądach, ale zawsze obowiązywał system bezpieczników. Nawet w USA w ten sposób udaje się wciąż powstrzymać Trumpa. A my? My pozwoliliśmy na wykręcenie wszystkich bezpieczników, więc myśląc logicznie, może się to skończyć tylko wielkim spięciem i pożarem.

Pracowałam w Moskwie, w MChAT, 700 metrów od murów Kremla. Gdy wychodziło się na ulicę, człowiek stawał naprzeciw wielkiego budynku, który rozświetlały reklamy jak na Times Square w Nowym Jorku, tyle że oprócz nazw znanych marek bardzo często pojawiała się tam promocja mistrzostw świata w szachach. Rosjanie to szachiści. Jak mamy z nimi wygrać, nie mając żadnej poważnej figury? Ba, sami zbijając sobie pionki? My świetnie gramy w dupniaka, ale na froncie wewnętrznym.

Jesteśmy skazani na przegraną?

– Między „Miarką za miarkę” w Pradze a „Trojankami” w Gdańsku wyreżyserowałam jeszcze „Wielkiego Fryderyka” w Poznaniu.

Przedstawienie na podstawie sztuki endeka Adolfa Nowaczyńskiego. To historia fascynującego kata Polski, perfidnego pomysłodawcy rozbiorów, z którego złotych ust pada wiele gorzkich słów o Polakach. Fryderyk na propozycję zorganizowania sobie w Polsce partii odpowiada: „Ale po co? Sejm można kupić, czasem i za beczkę soli. Polacy to nie jest naród, który należy traktować serio, im można tylko współczuć. To Irokezi Europy, muszą wyginać. Banda patriotycznych pożytecznych dewotów-idiotów, jak konfederaci barscy”.

Fryderyk w tej sztuce to uosobienie satrapy przekonanego, że uprawia politykę w imieniu i dla dobra narodu, bez względu na cenę, jaką trzeba za to płacić.

– Odcięty od rzeczywistości, postrzegający świat wokół jako inwazję wyimaginowanych wrogów, Fryderyk kocha tylko swoje psy, ludzie są mu potrzebni jedynie po to, by wypełniać jego wolę. A jeśli już czegoś potrzebują, to najpierw trzeba ich upokorzyć. Mimo to adwersarze łudzą się, że jego władza kiedyś przeminie i będzie po kłopotcie. Tak może myśleć tylko naiwny ignorant, jak ci, którzy wierzyli, że uruchomiona przez Fryderyka machina zatrzyma się na pierwszym rozbiore Polski. To był tylko początek, kolejne dwa poszły z bezwzględną konsekwencją, siłą rozpędu.

Czy nasza władza dokonuje kawałek po kawałku rozbioru polskiej demokracji?

– Zastanawiam się, co mogłoby ich powstrzymać. Pewnie krach gospodarczy, ale tego ani sobie, ani krajowi nie życzę. Słynne porównanie do królika Bugsa, który tak się rozpędził i tak szybko biegnie, że nawet gdy znajdzie się nad przepaścią, to ciągle jeszcze udaje mu się buksować i utrzymywać przez moment w powietrzu, pozostaje w mocy. Trwaj, chwilo!

Czego pan się dowiedział o Polakach przez ostatnie dwa i pół roku?

– Że jesteśmy jak Czesi.

Jak Czesi?

– Czym odróżnialiśmy się od tych przyziemnych, tchórzliwych Pepików? Że honor, że szabelka, że powstanie, że jak nam na godność nastąpią, to my na barykady i władza nie będzie nami pomiatać, że nie damy się uwieść normalizacji. Telewizor, meble i mały fiat – cytując klasyka – to nie był nigdy szczyt pragnień Polaka. Normalizacja to po czesku do dziś jedno z najokropniejszych słów. To obelga.

Miał pan lepsze wyobrażenie o Polakach?

– Byłem przekonany, że sceptyczny z natury stosunek do władzy uchroni nas przed manipulacjami, przed ochoczą zgodą na normalizację, a okazało się, że nic z tego. Kupujemy taką opowieść, jaką chcą nam wcisnąć. Kto za to zapłaci i kiedy?

Dlatego obecnie interesuje mnie pojęcie długu, krach systemu oraz generalna zagłada. Takie tematy krzepiące serce. W przyszłym roku będę robił „Fizyków” Dürrenmatta. To już nie deta-

liczna opowieść o dramatach pojedynczych narodów, ale opowieść o grzybku. O zagładzie świata, której nie potrafi przewidzieć świat ludzi normalnych zanurzonych w swojej normalizacji i zamykający fizyków w psychiatryku.

Czy odwaga przeciwstawiania się władzy stała się przereklamowaną wartością?

– Odwaga została dziś głównie na koszulkach. One są naprawdę niezłym barometrem polskiego patriotyzmu. Miałem nawet pomysł, żeby zrobić specjalną komnatę koszulkową, dajmy na to w zdobyczym Malborku. Poodziwiać manekiny w postrzelane koszulki prawdziwych Polaków.

Dlaczego postrzelane?

– Na plecach postrzelane oczywiście, bo my zawsze zdradzeni, zawsze rdzawy nóż w plecy o świcie. Sklepy z koszulkami jakimś

dziwnym zrządzeniem losu często znajdują się obok ważnych teatrów. Gdy pracowałem w Starym w Krakowie, miałem mekkę Red is Bad, gdzie chyba PAD zaopatruje swoją i żony garderobę. Pamiętam, że zaraz po wygranych przez PiS wyborach zobaczyłem na wystawie koszulkę z uroczym wizerunkiem zakutej pały woja i napisem, bodajże: „972 Cedynia. Pamiętamy”. To ciekawe – pomyślałem – co oni pamiętają. To był numer jeden. Numer dwa to koszulka, którą zobaczyłem parę miesięcy temu w Poznaniu, idąc do Teatru Polskiego. Na piersi brama Auschwitz, nadruk drutu kolczastego i napis: „German Death Camps – not Polish. Remember.”. Genialne – pomyślałem – giezełko na rodzinne wczasy albo do spania zamiast piżamy. I w końcu parę dni temu w Gdańsku, idąc do Teatru Wybrzeże, na Jarmarku Dominikańskim (którego tradycja – jak głosi

slogan – sięga niemal czasów Cedyni) zobaczyłem koszulkę: „Nie pytaj, ilu jest wrogów, tylko gdzie oni są”. Jasny, jurny przekaz kamikadze, nie jakieś pedalskie szachy. A to Polska właśnie.

Kupił pan sobie taką koszulkę?

– No, bez przesady. Ale jej hasło wryło mi się w pamięć niczym patriotyczny tatuaż na mózgu. Hatakumba czy jak tam mówił powstaniec Jaki. O, to też byłaby dobra koszulka.

Gdzie więc są ci wrogowie?

– Zadałem to pytanie Eurypidesowi, z którego tekstem pracuję. I on odpowiada: wśród zwycięzców. Największymi ofiarami wojny zawsze są zwycięzcy. Wystarczy zastanowić się, co stało się z bohaterami wojny trojańskiej. Agamemnon wrócił do domu z branką Kasandrą po to, żeby go własna żona we krwi utopiła. Pamiętajmy, że wcześniej złożył w ofierze ukochaną córkę Ifigenię, żeby w ogóle móc wojnę trojańską zacząć. Odyseusz – ten od konia trojańskiego – taki sprytny, tyle lat mozolnie do domu wracał i co w nim zastał? Ucztę konkurentów do ręki Penelopy. Nie ma takiej wojny, która przynosi szczęście bohaterom. Nawet jeśli ciemny lud kupi zwycięstwo, to przecież nie da się wszystkim zatkać nosa i udawać, że nie śmierdzi.



**GADKA „WYSTARCZY
WYGRAĆ WYBORY”
JEST ZWODNICZA,
BO WKRÓTCE
MOŻE SIĘ OKAZAĆ,
ŻE WYBORY NIC JUŻ
NIE BĘDĄ ZNACZYĆ**

Wyjdziemy z tego z kacem?

– Z kacem to jest najdelikatniej powiedziane. Eurypides został na obczyźnie rozszarpany przez psy i nie ma nawet jego grobu, bo nie było czego w nim pochować.

Co więc robić, aby ocaleć?

– Czekać. Uczyć się czekać, lawirując pomiędzy biegunami: z jednej strony nie dać się sprowokować i nie uderzyć tego nie-szczęsnego policjanta strzegącego barierki, bo bezradność rodzi agresję. Z drugiej – nie ulec złudzeniu, że „nic się nie dzieje”. Gadka „wystarczy wygrać wybory” jest zwodnicza, bo wkrótce może się okazać, że wybory nic już nie będą znaczyć. Wprowadzana z determinacją i premedytacją (dzień po dniu i noc po nocy w głosowaniach) alternatywna rzeczywistość ześlizguje kraj w przepaść. A gdy się już tam znajdziemy, to prawo sinusoidy historii może przestać działać. Zostaniemy w tym dołku na tysiąclecie, bo przecież tysiącletnią historię urojonego mocarstwa pisze ten gość zamknięty w czterech ścianach, niemówiący w żadnym obcym języku i nierozumiejący świata.

Jarosław Kaczyński to zły demiurg?

– Pytasz, czy czas już na teatr frontowy z prezesem w roli głównej? Zastanawiałem się nad tym ostatnio, oglądając polskiego premiera biegającego po Brukseli ze zdjęciem w komórce, które rzekomo miało kompromitować naszą prezes Sądu Najwyższego. Przecież takie zachowanie oznacza, że żyjemy w kraju kompromatów. Takiej Polski chce prezes.

No więc: czas już na teatr frontowy?

– Chyba jeszcze nie, choć zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego Polacy żyjący nowocześnie, podróżujący po świecie, obrastający w dobra cywilizacji, oddają władzę w ręce człowieka, który funduje im kraj kompromatów. Człowieka, z którym nie chcieliby spędzić nawet wakacji, bo musieliby wszędzie go zawieźć, wszystko za niego przetłumaczyć, wypłacić za niego pieniądze z bankomatu. A on w rewanżu mógłby co najwyżej rozpoznać, kto się czego boi i doprowadzić do kłótni każdego z każdym. Alien 2018. Koszmarne wakacje.

Ale to nie są wakacje.

– No właśnie, to nie są wakacje. Wakacje od historii się skończyły, jest nowe rozdanie, tam, nad naszymi głowami. Kto w naszym imieniu podejmuje wielką grę o przyszłość? Kaczyński? PAD? „Houston, mamy problem”. Jak to możliwe, że Polacy nie widzą związku między tym, kogo chcieliby mieć za kierownika swojej mentalnej wycieczki, a decyzją przy urnie wyborczej? Gdyby tego wszechwładnego demiurga chcieć pokazać na scenie, to chyba musiałby Jarosław Kaczyński jechać na koniu, ale jako marszałek Żukow na czele powstańczej armii nieumarłych i koniecznie musiałoby się to dziać w rocznicę wiktorii wiedeńskiej. Schizofrenia. To jest wielka narodowa schizofrenia – tylko wciąż nie wiemy, ile ten dramat liczyć będzie aktów. **N**

JAN KLATA JEST REŻYSEREM TEATRALNYM, W LATACH 2013-2017 BYŁ DYREKTOREM STAREGO TEATRU W KRAKOWIE